We Lwowie dnia 5. Stycznia 1873.

Nr. 1. Rok X.

OPIEKUN DZIECI NASZYCH.





Wychodzi trzy razy na miesiąc każdego 5, 15, 25 we Lwowie.

Kosztuje rocznie . 6 złr.
półrocznie . . . 3 „
a wszystkie szkółki ludowe płacą tylko 4 złr. rocznie.

Anioł Stróż.

„Czyj to głos droga, kochana mamo,
Który w dzień jasny lub w nocną ciszę,
Choć ciebie nie ma, choć jestem samą,
Tuż, tuż wyraźnie przy sobie słyszę?

— „Czyj to głos mamo, co w każdej dobie
Kiedym niegrzeczna, gani mię z bliska,
I choć co złego kryjomo zrobię,
Rumieniec wstydu na twarz wyciska?

Czyj to głos mamo, co choć tajemnie
Uczynię dobrze, wie o tem przecie,
I gdym posłuszna cieszy się ze mnie,
Mówiąc, tak dobrze kochane dziecie.“

Ja się go boję, gdy napomina...
A kiedy chwali, serce mi rośnie...
Kto tu jest przy mnie mamo jedyna,
Co mówi groźnie albo radośnie?

* * *

— Dziecię! każdego posłannik Boży,
Co dniem i nocą powiek nie zmruża,
Strzeże — on dobrych cieszy — złych trwoży,
To głos twojego Anioła Stróża...

Kochani moi czytelnicy.

Przy rozpoczęciu Roku Nowego muszę dawnym zwyczajem przemówić do was słów kilka, pragnę bowiem uprzytomnić wam ważność tej uroczystości.

W dniu tym każdy powinien się policzyć z sobą samym, i myślą ogarnąć wszystkie swe czyny i postępki, dokonane w roku ubiegłym. O szczęśliwy ten, któremu sumienie żadnych nie czyni wyrzutów, musiał on żyć cnotliwie według przykazań Bożych, wypełniając ściśle swe obowiązki. Za tę więc wielką łaskę i opiekę, jaką łaskawy Bóg go obdarzył, niechaj korne złoży dziękczynienia i w serdecznej modlitwie niechaj prosi o zachowanie dlań tej łaski także i w roku następnym.

Kto zaś nie uczuje po takim obrachunku pochwalnych głosów sumienia swego, owszem słyszy same tylko wyrzuty za opuszczanie obowiązków, za niewypełnianie napomnień starszych, za ciągłe przekraczanie przykazań Bożych, ten niechaj w skrusze i pokorze rzuci się na kolana — i ze łzami błaga Najwyższego o przebaczenie, niechaj Go błaga o litość i łaskę, a jeżeli prośba jego i żal będą szczere, pewnie wysłuchanym będzie, bo Bóg lituje się nad każdym szczerze żałującym i udziela mu swej łaski.

Jeżeli zatem który z was, kochani moi czytelnicy — zaniedbał w dniu Nowego Roku uczynić takiego obrachunku z własnem sumieniem, niechaj go dopełni, a pewnie obfite zeń zbierze owoce. Jeżeli bowiem taki obrachunek pochwalny dlań wyda wyrok — to składając Bogu dziękczynne modły za łaskę — nietylko że utrwali się w dobrem, lecz wypełni zarazem i najszlachetniejszy **obowiązek wdzięczności** za otrzymane dobro; kto zaś usłyszy na siebie wyrok potępienia, żałując szczerze za swe przewiny, zdziała tem trudniejszy, a więc tem większy jeszcze **czyn pokuty i żalu.**

Szczery zaś żal, pokuta i mocne przedsięwzięcie poprawy przebiją Niebiosy i trafią do stóp Najmiłosierniejszego Ojca, który — jak powiada Zbawiciel nasz cieszyć się każe Aniołom w Niebie z żalu i poprawy grzesznika.

Całą treść powyższego mego przemówienia zaczerpnąłem z pism sławnego Franklina, który — jak to każdemu wiadomo, ani jednego dnia w swem życiu nie zmarnotrawił, a który, jak to sam wyznaje, do tej doskonałości doszedł jedynie najściślejszem codziennie rachunkiem z własnem sumieniem.

Zdaje mi się, iż polecając wam, moi drodzy młodzi przyjaciele, taki codzienny rachunek z sumieniem, a szczególnie w dzień Nowego Roku, najlepsze — bo najkorzystniejsze dla was, przesyłam wam życzenia.

Jako Polak zaś i piszący do **Polskich Dzieci** muszę nadto zwrócić jeszcze waszą uwagę na obowiązki szczególne, jakie wypełniać musicie jako Polacy, chcąc zapewnić lepszą przyszłość dla waszej Ojczyzny. Pamiętajcie, iż rok bieżący jest już **setnym pierwszym** naszego upadku, a jak to już wam tylokrotnie powtarzałem jedynie tylko waszą pracą i zacnością możecie podźwignąć kraj nasz z tego upadku.

A więc:

Praca! miłość, jedność, zgoda!
Tem niech żyje Polska młoda!!!

Znaczenie słów tych niechaj wam łaskawie wyjaśnią wasi Najdrożsi Rodzice — ja zaś zakończam moje powinszowanie następnym wierszykiem:

Znów R o k N o w y Polacy,
Zorza znojów i pracy!
Niechże promień jej złoty
Z serc wywiedzie kwiat cnoty,
Wznieci miłość serdeczną,
Ku dobremu chęć wieczną,
Wznieci w pracy wytrwanie,
Nowej ery zaranie!
O ty młodzi ojczysta,
Bądź bogobojna, czysta,
Kwiecie wdzięczny, radośny,
Godło zorzy i wiosny,
Niechże z **Ciebie wypłynie**
Szczęsne lato krainie!

A. K.

Kościół św. Krzyża na Łysej Górze.

Z chwilą przyjęcia chrztu św. przez księcia naszego Mieczysława pierwszego, poczęły się wznosić na ziemi polskiej liczne a wspaniałe przybytki, chwale Bożej poświęcone. Nie ma zapewne narodu na świecie któryby tyle i tak wspaniałych posiadał świątyń — co Polska. Nietylko bowiem królowie nasi chojną dłonią sypali grosz na chwałę Bożą, lecz także wszyscy zamożniejsi Polacy jak-

by jeden drugiego prześcigać się zdawali w budowaniu kościołów i opatrywaniu ich w dostatnie utrzymanie. Jeden tylko Piotr Dunin ze Skrzydlny 100 świątyń własnym kosztem miał wznieść — a nasz Kraków w stósunku liczby mieszkańców więcej posiada kościołów, niżeli sam Rzym.

Kościół na Łysej Górze jest niezaprzeczenie jednym z najstarszych w Polsce — założony on został przez Bolesława Chrobrego około roku 1008. Niektórzy nawet mniemają zgodnie z dawnem podaniem, że już Mieczysław I. wystawił tu pierwszy



Kościół św. Krzyża na Łysej Górze.

kościół z modrzewia na szczycie góry, która odtąd Święto-Krzyzką, a w czasach pogańskich Łysą Górą była nazywana.

Zdaje się atoli, iż dopiero Bolesław Chrobry sprowadziwszy do Polski Benedyktynów, w miejscu dawnej świątyni pogańskiej bożka Lelum-Polelum klasztor i kościół dla tych nowych apostołów wiary i wiedzy fundował, a to z umysłu w miejscu, do którego lud z dawien dawna wielką przywiązywał wagę.

Zaufaniu króla i narodu odpowiedzieli najzupełniej Benedyktyni — utwierdzali bowiem nietylko nowo nawróconych chrześcjan w wierze, wszczepiali cnoty i zasady moralności, lecz także uczyli prostaczków świeckich nauk, jak czytania i pisania, a nadto — dając z siebie najlepszy przykład, rozkrzewiali ogrodnictwo, rolnictwo i rozmaite rzemiosła. To też klasztor Święto-Krzyzki, podobnie jak inne benedyktyńskie, stał się niebawem punktem środkowym dalekiej wszerz i wzdłuż okolicy, siejąc w około cnoty i dobrobyt. Nic zatem dziwnego, że wdzięczny naród obsypał swych nauczycieli tak wielkiemi dostatkami, iż opactwo Benedyktynów na Łysej Górze należało do najbogatszych w Polsce. Nie szczędzili też ci zacni zakonnicy swych dochodów na upiekszanie swej świątyni — była ona jedną z najwspanialszych w kraju, a do dziś dnia okoliczny lud opowiada sobie o wielkich skarbach w jakie obfitowała. Dzisiejsza świątynia istnieje dopiero od lat kilkudziesięciu, wzniesiona na gruzach dawnej, pożarem zniszczonej. Ściany

kościoła wzniesione z ciosu, są na zewnątrz ozdobione marmurowemi posągami Opatów tamtejszych i sławnych rycerzy, wilgoć jednakże, z przyczyny wysokiego położenia góry, przesiąka je na wskróś, dla tego też więc i piękne obrazy znakomitego malarza Smuglewicza, zdobiące ściany wewnętrzne, uległy zniszczeniu. Wielki ołtarz ozdabiają dwa słupy, w środku których obraz Trójcę świętą przedstawiający, jakoteż sześć innych ołtarzy z prześlicznemi obrazami najbardziej zdobią świątynię.

W bocznej kaplicy znajdują się oprawne w złoto szczątki Krzyża Świętego, otrzymane od Emeryka króla węgierskiego, któremu ten dar przysłał cesarz grecki.

Za Bolesława Wstydliwego podczas pierwszego napadu Tatarów klasztor tutejszy uważany jako skład bogactw, napadnięty i złupiony został, a kapłani ze wszystkimi, co szukali w nim schronienia, okrutnie wymordowani zostali.

Za króla Ludwika Litwini pod wodzą Kiejstuta i Olgierda, swoich książąt, pustosząc ziemię Sandomierską, odarli także i ten klasztor z bogatych sprzętów i bogactw.

Historyk nasz Długosz pisze: że gdy ładowne zdobyczą wozy stanęły nad granicą, jeden z nich zastanowiwszy się nagle, żadnym sposobem ruszyć się nie dał, lubo doń mnóstwo koni i wołów zaprzężono. Zdziwieni poganie tem zdarzeniem, nie mogli dociec przyczyny, aż jeden z ich Wajdelotów (znaczy kapłanów) ostrzegł książąt, iż się na tym wozie musi znajdować krzyż, który z kościoła Łyso-górskiego zabrano. Przetrząśnięto zatem wóz i znaleziono ów kosztowny krzyż. Przywołany jeden z jeńców polskich, nazwiskiem Chorobal, otrzymał wolność pod warunkiem, aby ten święty krzyż odniósł z uszanowaniem na dawne miejsce co gdy uczyniono, ruszył się wóz i poszedł dalej.

Kiedy Jagiełło — za którego panowania także Litwini napadli na klasztor i zrabowali go, poślubił niezadługo potem Jadwigę i przyjął chrzest, w tym kościele, żałując za swoje występki pobożne składał modły i chojnemi dary dawne krzywdy wynagrodził.

Po raz ostatni uległ tutejszy klasztor zupełnemu rabunkowi podczas wojny ze Szwedami za Jana Kazimierza w roku 1656 — i odtąd też już nie odzyskał dawnej swej świetności.

W roku 1819 zniósł rząd moskiewski zakon Benedyktynów, pozabierał włości klasztorne, a bogatą w rzadkie dzieła tutejszą książnicę wywiózł do Warszawy. Obecnie klasztor z klasztorem oddany został księżom Demerytom.

U stóp góry Święto-Krzyzkiej leży małe miasteczko Słupia, niegdyś dziedzictwo klasztoru. Uroczy widok przedstawia się oku z miasteczka; nieraz chmury zakrywają zupełnie szczyt góry, a zatem i kościół, lecz wśród pogodnego dnia patrząc na kościół, zdaje się, jakoby z pośrodka obłoków wznosił swe skrzydła biały anioł i błogosławił całej okolicy. Urok tego widoku jest tem większy iż cała spadzistość góry jest pokrytą gęstym, ciemnym borem, o którego wierzchołki zawadzają pasma bladawych chmureczek.

Pośród borów Święto-Krzyzkich bezpieczne nieraz znajdowali schronienie śmiali bandyci, roznosząc ztąd postrach i rozbój w okoliczne bogate dwory i miasteczka. Ztąd też powstało i przechowuje się do dziś dnia przysłowie: *Święto-krzyzki zbójca*—używane o człowieku ponurego wejrzenia i złych obyczajów.

Jary niedostępne i gęste knieje wdrożyły również ludowi naszemu mniemanie, zapewne jeszcze z czasów pogaństwa pochodzące, iż Łyso-Góra jest od najdawniejszych czasów głównem siedliskiem czarownic, które w każdy czwartek po nowiu księżyca, zlatują się ze wszystkich okolic na miotłach i łopatach na sam szczyt góry i tutaj odprawiają huczne biesiady, radząc o sposobach dokuczania ludziom. Podobne jednakże wieści nikt z rozsądnych ludzi nie bierze za prawdę, i nie wierzy mi, mogą one jedynie przechowywać się u ludzi zupełnie nie posiadających żadnej nauki. Spodziewam się, że wy nietylko temu nigdy nie uwierzycie, lecz owszem wierzących będziecie od tego odwodzić. A. K.

Szczęść Boże!

wiersz

nadesłany przez Teofila Lenartowicza

z Florencji.

Szczęść Boże wam bracia, na glebie rodzinnej,
Szczęść Boże!
Bo smutno i długo wiek płynie bezczynny,
Gdy człek się przyłożyć nie może.

Tam brony potężne zębami z żelaza,
Rwą ziemię spaloną w kawały,

Tam Święty na sośnie spogląda z obraza,
Z uśmiechem, jak jeno dzień biały,
Robotę uświęca
Do pracy zachęca,
I rolnik jak może. tak orze.
Z sąsiadem pogwarzy,
Ze sroczką się swarzy,
Hej! bracie rolniku szczęść Boże!

Tam prządka przy kółku zasiadła z kądzielą,
I przędzie na wartkie wrzeciono,
A płótna nad wodą, na blichu się bielą:
Na zgrzebną koszulę, na oną,
Dla dziecka na płatek,
Dla ojców, dla matek,
By jeno nie świecić tą nędzą,
Przy piosnce, przy cichej,
Migają się sprychy
U kółka niewiasty nad przędzą.
Sieroca zasiadła gromadka w półnaga,
A wicher liść niesie po dworze,
O! biedne sieroty, niech wam Bóg pomaga,
Hej! prędko matulu, szczęść Boże!

Tam odrzwia chałupy stanęły otworem,
Chałupy czy starej plebanji,
I bieda wnet kołem gromadzi się społem,
Chociażby jak nie wiem najraniej.
Ten prosi za zmarłe, ten prosi za żywe,
„Poratuj jegomość w potrzebie."
I pleban ramiona otwiera poczciwe:
Jako Bóg przykazał w niebie.
I daje, i uczy, i robi co może,
Dla swej wieśniaczej gromadki;
Dbałemu o nędzę, o biedne te dziatki,
Cichemu starcowi, szczęść Boże!

Tam w nocy zimowej, bez gwiazd, bez księżyca,
Gdy zimne powietrze zalała mgławica,
Człek dąży ubogi, w świat pusty, nieznany,
Z zapartą łzą w piersiach, ze łkaniem,
Jak zajrzeć świat Boży śnieżycą zawiany,
I pusto jak przed nim tak za nim,
Ni chaty, ni domu,
Przytulić się komu.
Świat cały burzliwy jak morze..
Wędrowcze ubogi,
Bez celu, bez drogi,
Niech ci tam Bóg jeden pomoże!

Wycieczki w świat daleki.

PUSTYNIA SAHARA.

Obok opisów ziemi naszej ojczystej zamierzam w bieżącym roczniku „Opiekuna" podawać wam treściwe opisy najważniejszych i najciekawszych miejscowości świata, by tym sposobem rozbudzić ciekawość do tej pożytecznej a zarazem tak przyjemnej nauki jaką jest geografia opisowa. Rozpoczynam od podania krótkiego opisu puszczy Sahary, tego dla swej odrębności godnego poznania kąta ziemi naszej.

Puszcza Sahara jest w całem słowa tego znaczeniu **m o r z e m   p i a s z c z y s t e m**, zajmującem od wschodu aż do zachodu prawie cały środek północnej Afryki — rozciągając się w długości około 700 mil geograficznych, a w szerokości 300 mil geograficznych.

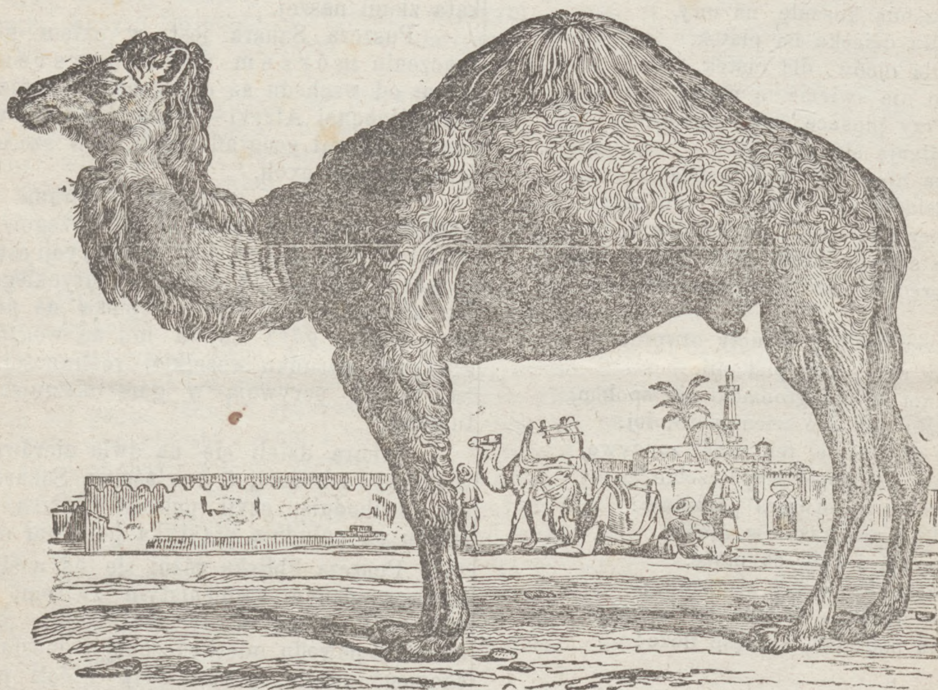
Od północy graniczy z górami Atlas, od wschodu przypiera do wysokich brzegów Nilu, południowa jego strona dotyka Nigrycji czyli Sudanu, a zachód oblany wodami atlantyckiego Oceanu. Żar afrykańskiego słońca dopieka na pustym Sahary stepie, gdyż zbywa mu na wodzie, na tym głównym warunku wszelkiej roślinności. Straszliwe wichry porywają w górę niezmierne piasku tumany.

Sahara dzieli się na dwie nierówne części: większą, zachodnią, t. j. właściwą Saharę, i mniejszą wschodnią, czyli puszczę libijską, do której znowu od południa przytyka pustynia nubijska.

Puszcza libijska różni się od wielkiej gruntem, zasypanym kamienistym żwirem, zdradzającym tu i owdzie ślady wegetacji; podczas gdy tamta z powodu nieskończonej jednostajności ruchomego piasku, przerażający widok przedstawia. A przecież znajdują się wewnątrz pustyni miejsca, gdzie z wznioślejszych okolicznych przestrzeni, woda ściekając pod ziemią, tworzy ożywiające źródła, roznoszące życie i wywołujące roślinność w tej spiekłej naturze, gdzie bujna, urodzajna okolica błyszczy w najpiękniejszym wdzięku i uroku, w najcudniejszej ozdobie i krasie; gdzie rosną najwspanialsze rośliny i drzewa, a daktylowe i palmowe lasy udzielają mile chłodzącego cienia. Miejsca te wita wędrowiec z taką radością, z jaką żeglarz wita ziemię, gdy ją ujrzy błąkając się długo po burzliwem morzu. W tych stronach mieszkają także ludzie, którzy nie są wyłączeni od stosunków z resztą świata. Więcej niż dwunastu drogami

przeciągają pustynię karawany, aby dojść do nich i ułatwić im stosunki handlowe. Za ich pośrednictwem mogą podróżni z cywilizowanej Europy zbadać wnętrze tej części świata, która dawniej prawie zupełnie była przed nimi zamkniętą. Jak wyspy wśród morza, wypływają z piaszczystego Sahary oceanu te zielone, urodzajne okolice, *Oazami* zwane. Ztąd to odbywają się wycieczki w te nieskończone przepaściste równiny, w celu ścigania okrutnych pustyni mieszkańców; polowania na lwy, tygrysy i pantery, których skóry stanowią kosztowny przedmiot handlowy dla krajowców, lub wreszcie dla ułowienia strusia, którego tu jest ojczyzna.

Ale te stosunki byłyby zupełnie niemożebne, gdyby przyroda nie stworzyła pośrednika, z pomocą którego jedynie Saharze swe stopy powierzyć można. Jest nim wielbłąd — ów okręt pustyni — owa niezbędna potrzeba, skarb i bogactwo całe Berbera i Beduina, któremu zawdzięczają, że te samotne i nieużyte stepy przebywać mogą. On to, ciężko obładowany, unosi przez pustynię ich samych i ich mienie, ich namioty i wszelkie towary.



Dromader.

Żadne inne zwierzę w świecie oprócz wielbłąda, nie zdołałoby odbyć podróży przez te nieskończone, suche i żarem płonące płaszczyzny, na których często przez cały ciąg swej drogi, ani jednego źdźbła słomy, ani jednej kropli wody nie znajdziesz. W istocie jest to kraj zaklęty, którego grunt zasypany jest miałkim piaskiem, zaciera nawet ślady świeżo przeciągniętej karawany w kilku godzinach, a jedynym przewodnikiem wędrowca są gwiazdy, błyszczące nad jego głową na płomiennem tle niebios. Nawet sam koń Berberyjski, to zwierzę przyzwyczajone do znojów i trudów, wytrwałe i poprzestające na lichej strawie, wtenczas jedynie ośmiela się puścić na pustynię, gdy deszcze skropiwszy obficie tę spragnioną ziemię, wywołują niejaką roślinność, tu i owdzie pozostawią małe źródełka wody, lub też gdy wielbłąd w pęcherzach niesie świeży i ożywczy napój. Szczupła ilość najlichszego pożywienia wystarcza mu i to cierpliwie znosi, gdy mu jeździec coraz mniejszą cząstkę wyznacza. Bardzo często zdarzają się przypadki, że wielbłąd z ostatecznem wysileniem doprowadza swego pana do Oazy i ratuje mu życie, sam zaś pada z utru-

dzenia. Przy największej suszy może bez napoju wytrzymać 4—5 dni. Podczas gdy koń z omdlenia upada, wielbłąd zachowuje cierpliwość i wytrwałość. Potrafi on zwietrzyć o parę mil wodę i nieraz zaopatrzył nią karawanę, wtenczas gdy wędrowcy wcale się nie spodziewali znaleźć wśród pastyni źródła.

Mówimy tutaj głównie o jednogarbnym wielbłądzie, tak zwanym Dromaderze, który pochodzi z pustyń Arabji i północnej Afryki. Dwugarbny ma swoją ojczyznę w Persji i Tybecie, w stepach Mongolji i Tatarji, lecz zdaje się być mniej usposobionym do skwaru afrykańskiego słońca. Dromader należy do najpowolniejszych i najcierpliwszych zwierząt. Bez szemrania pozwala się największemi ciężarami obładować; a jeśli uczuje, że włożono mu na grzbiet nad jego siły, wydaje głośne skargi i narzekania — i w żaden sposób choćby najbardziej naglony, z miejsca nie powstanie. Wielbłądy unoszą ciężar dochodzący aż do 1.200 funtów, a z jeźdźcem odbywają dziennie 30 do 40 mil. Do jazdy na wielbłądzie używa się siodła w środku wydrążonego, które się na garb jego wkłada.

Wielbłąd jest wysoki od 5—6 stóp; długość jego od piersi aż do osady ogona ma blisko 8 stóp, Wielka i niezgrabna postać, długa, krzywa szyja, niekształtny garb, składający się z tłustości skórą powleczonej, który w czasie niedostatku znacznie się zmniejsza i na bok zwiesza; głowa z wielkiemi otwartymi nozdrzami, z oczami często bez żadnego wyrazu, z krótkiemi uszami i obwisłym pyskiem, na niektórych tylko miejscach sierścią pokryta skóra, z wielkim fałdem na szyi w górze u którego wisi długa broda, cienkie, kościste nogi, robią wielbłąda typem szpetoty. Ale czemżeby byli Beduini bez tego skarbu! Wielbłąd żywi ich swojem mięsem i mlekiem, z jego wełnistej sierci tkają różne materje; z jego skóry robią suknie, namioty i rzemienie, w podróży unosi ich na swym grzbiecie i staje się dla nich jakoby wałem, poza który się chronią przy napadach nieprzyjaciół, lub podczas wirujących w powietrzu chmur piaszczystych.

Nic nie ma straszniejszego nad takie zawieje. Nagle zaciemnia się widnokrąg, atmosfera bucha czerwonym żarem, słońce przestaje świecić, zwierzęta poczynają być coraz niespokojniejsze, ogarnięte trwożnem a smętnem przeczuciem. Człowiekowi brak oddechu, przejmują go dreszcze, pragnienie się wzmaga, a woda w skórzanych pęcherzach nagle wysycha. Upada cała karawana, ludzie i zwierzęta odwracają oblicza od wiatru, nakrywają się chustkami, aby zabójczy i ogniem ziejący kurz nie dostał się im do ust, oczów lub nosa. Słychać szum w oddaleniu — coraz bardziej się przybliża; to uragan pustyni—to straszny *Samum* czyli *Harmattan*, jak go krajowcy zowią; cała okolica jak szeroko i daleko, jest tylko jedną wielką chmurą niezmiernej kurzawy. To raz wznoszą się piasku tumany, często od 10—12 stóp wysoko, tworząc wyniosłe pagórki, to znowu w jednej chwili rozwiane, nikną zupełnie, aby innym miejsca odstąpić. Szczęśliwy, kto się oparł burzy. Karawana zbiera znów swe upadłe siły i wlecze się dalej, pragnąc znaleźć schronienie, gdzieby się pokrzepić mogła.

D. c. n.

Dział drugi

dla młodszych czytelników.

Kochany Gucio

prawdziwa powiastka.

Na imieniny pani Jagielskiej, Mania i Zosia jej córeczki zrobiły włóczkowe podstawki pod lichtarze, Gucio tylko, grzeczny zresztą ośmioletni chłopczyk, nic na wiązanie nie przygotował i z tego powodu był bardzo smutny. Napisał wprawdzie dużemi literami powinszowanie, ale służąca przypadkiem wrzuciła je w ogień i spaliła, a na napisanie powtórne już zabrakło czasu. Smucił się więc bardzo chłopaczek, nawet się dobrze napłakał; — smuciły się i siostry jego, ale nie mogły temu zaradzić.

Gdy więc wszyscy gotowali się do złożenia mamie powinszowania i upominków, Gucio stał w kąciku bardzo zafrasowany i łzy mu świeciły w oczach. W tem wszedł ojciec, aby dzieci poprowadzic do mamy. Dowiedziawszy się o wypadku z napisanem powinszowaniem, powiedział tylko Guciowi, że w tem i jego troszkę wina, bo kiedy ma półkę na książki i kajetę, powinien był na niej położyć powinszowanie a nie zostawiać na stole.

— Otóż mi najbardziej dla tego przykro, odezwał się Gucio, że taki byłem niedbały. Mama może pomyśli, że jej nie kocham, a ja tak cieszyłem się napisanem powinszowaniem.....

— Uspokój się Guciu, przerwał rozczulony ojciec, opowiemy wszystko jak było, ażebyś zaś i ty nie poszedł z próżnemi do mamy rękami, weź ten piękny kosz z owocami, oddasz go mamie na wiązanie. Tobie zaś daję jabłuszko piękne, rumiane, takie jakie ty lubisz.

— Ach! jakie śliczne, przerwał Gucio, odbierając tak ładny podarunek, pewne musi być bardzo smaczne?

— Tak jest moje dziecko, jak go zjesz, to się lepiej o smaku przekonasz.

— A jak pachnie prześlicznie, odezwał się Gucio, wąchając owoc z rozkoszą, jeszcze takiego jabłka nigdy nie dostałem.

— Żałuję bardzo, rzekł ojciec, że nie mam podobnych jabłek dla Mani i Zosi.

— Dam im ojcze po kawałku..

— Dziękujemy ci Gucio, odezwały się siostry, ale to dla ciebie dał tato a my wcale nie łakome.

W tem wbiegła służąca z wiadomością, że pani już się ubrała. Wszyscy więc wyruszyli cichaczem, ale z wielką radością, a nawet się Gucio uśmiechał, patrząc na prześliczne owoce w koszyku.

Kiedy koleją ojciec i siostry złożyli powinszowania i podarki, wystąpił i Gucio a całując w rękę mamę, rzekł:

— Winszuję kochanej mamie wszelkich pomyślności, zdrowia, i z nas pociechy — przynoszę zaś wiązanie, ale nie to, które już było gotowe, bo mi je spalono..... lecz ten kosz z owocami od ojca.

— To od ciebie Gucio, przerwał ojciec, ale Gucio zaraz odrzekł.

— Przepraszam tatę, ale ten kosz z owocami nie mój, bo go dostałem od taty. Więc daję mamie kosz z owocami od ojca, a to piękne jabłka od siebie.

— Kochany Guciu, odezwała się mama rozrzewniona, bądź pewny, że twoje wiązanie największą mi przyniosło przyjemność.

— Ach! jakżem szczęśliwy, zawołał Gucio.

— Czemże ci swą radość okaże? odezwała się mama, całując Gucia.

— Oto mameczka, rzekł Gucio, nachylając się do ucha mamy, pół tego jabłka da siostrzyczkom, Mani i Zoni. Jabłko śliczne, pachnące i smaczne, a one takie dobre, to warte tego.

Mama zrobiła tak jak Gucio prosił, a nawet jabłko podzieliła na pięć części i wszyscy zjedli po kawałku.

Odtąd Gucia nie nazywano tylko kochanym, a co to w domu było radości.

OD REDAKCJI. Wysyłając pierwszy numer „Opiekuna dzieci“ na rok 1873, ośmielam się zanieść prośbę do szanownych Rodziców i Opiekunów moich młodych czytelników. Oto jak już tylokrotnie się użalałem, jedynie tylko brak dostatecznej liczby prenumeratorów jest przyczyną, iż „Opiekun“ często ni regularnie wychodzi i że nie rozwinął swych sił tak, jak rozwinąć powinien, by godnie odpowiedział swemu celowi. Rok rocznie niedobór, nie rachując pracy i zachodów redakcji — w żaden sposób nie zdoła utrwalić wydawnictwa, owszem musi je obalić. Proszę mi wierzyć, iż jedynie przyjęty raz obowiązek, moralnie mi nakazuje prowadzić dalej wydawnictwo. Postanowiłem nadto wydawać w roku bieżącym „Opiekuna“ trzy razy na miesiąc i rozszerzyć dotychczasowy program, czuje bowiem konieczną potrzebę takiego pisma dla dziatwy polskiej. Mając nadto szczególnie na oku szkółki nasze ludowe, postarałem się o ładną i kosztowną premię; pragnę by premia „Opiekuna“, na rok 1872: „Portret Kościuszki“ wisiała na ścianie każdej szkółki wiejskiej. Wysoki Sejm krajowy przyszedł wprawdzie i w tym roku z pomocą, jeżeli jednakże nie znajdę poparcia u Szanownych Rodziców i Opiekunów dziatwy, nie potrafię dłużej wydołać. Upraszając przeto o jak najliczniejsze i wczesne zamawianie, proszę zarazem o łaskawe rozszerzanie „Opiekuna“ w swej okolicy. **Gdyby każdy z dotychczasowych prenumeratorów — chociaż jednego wyszukał nowego przedpłaciciela,** byt Opiekuna zostałby zapewnionym.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor *A. Kisielewski.* Z drukarni K. Pillera.